

**„Jak diabllica Pyskatka chciała się wydać za gajowego z Firleja”
(str. 33 – 37)**

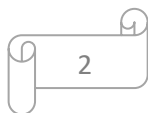
Zamieszkiwała tu piekle pewna diabllica, w wieku raczej średnim i — jak na swoje środowisko — urody też całkiem przeciętnej. Charakter za to miała nieprzeciętny, nawet jeszcze gorszy niż diabelski. Pasjami lubiła swoim kolegom — biesom nieźle dokuczyć. Wyśmiewała się z nich, wytkócała o byle co, piekliła się nawet i bez powodu. Nic przeto dziwnego, że uzyskała szybko imię Pyskatki, zgodnie przez całą diabelską brać aprobowane. Lubiła więc spokojnie odpoczywającemu diabłu niespodziewanie na ogon nadepnąć, albo też innego — niby niechący — rogiem w przejściu zawadzić. Lubiła wziąć kubetek smoły gorącej i wylać ją koledze na kopyta. Wiele radości sprawiało jej też skłócanie biesów między sobą. A zmyślała przy tym, a plotkowała, a intrygi knuła rozmaite, byle tylko wszystkich postawić przeciwko wszystkim. Nie znosili jej mieszkańcy piekieł, po prostu diabli ich na nią brali, ale nic na to nie mogli poradzić, bo Pyskatka cieszyła się względami u samego Belzebuba. Dlaczego? Ano, powód prosty: donosiła. Nakablowała na diabła Siarkotłuka, że zamiast ognia pod kotłami pilnować to ze Spaśnocapem gra sobie w kości, a w tym czasie grzesznicy nie przypiekają się, jak należy. Doniosła także z zazdrości na Detkę, że słodkie oczy do młodych i pięknych grzesznic robi zamiast sprawiać im gorący prysznic ze smoły. Nagadała też na Mędrokaptura, że się ponad czartowski kolektyw wynosi i chce mu przewodzić i że jakąś swoją grupę tworzy. Nie wiadomo, czy Belzebuba zdetronizować nie zamierza. Poza tym kłóciła się prawie z każdym diabłem o byle co, a nawet czasami i bez powodu. Ot, tak po prostu dla zasady i dla własnej przyjemności. Robiła więc najprawdziwsze piekło w piekle i nic dziwnego, że

wszyscy mieli jej dosyć. Oczywiście poza Belzebubem, którego była okiem i uchem.

Trwało to czas jakiś, aż wreszcie i władca piekielny pojął, że w końcu wściekła diaboliczna mu całe piekło rozwali, bo czarty — nie mogąc już dłużej z nią wytrzymać — pójdą do wszystkich diabłów, czyli zwyczajnie z piekła pouciekają. Wtedy skończy się diabelski biznes. Postanowił więc dla opamiętania Pyskatkę na ziemię wysłać, aby piekielna atmosfera nieco ostygła. No, może nie ostygła, a raczej trochę się załagodziła. Jak postanowił, tak i uczynił. Wezwał przed siebie diaboliczną i prawi:

— Pójdiesz na ziemię, bo tu twoi koledzy mają ciebie dość. Może tam wyjdiesz wreszcie na ludzi, to cię przyjmę z powrotem, Pyskatko.

Był w tym czasie gajowym w firlejowskich lasach strzelec Dobromir. Roków miał chyba już ze trzydzieści z niewielkim okładem, ale o żeniactwie jeszcze nie pomyślał, choć niejedna panna na jego widok dziwnej słabości, a też i drżaczki w nogach dostawała. Był bowiem Dobromir kawalerem dorodnym, wysokim, na gębie przystojnym. Do tego nie pijus, nie awanturnik czy też złoźnik jakiś, ale człek spokojny i robotny. Lasu doglądał jak należy. Zimą zwierzynę dokarmił, na kłusowników i złodziei drewna surowe baczenie dawał i prawie całymi dniami w lesie przebywał, sobie tylko znanymi drózkami i ścieżkami chodząc. Sam w nowej, czystej gajówce mieszkał, sam sobie jadło przyrządzał, prał, porządkował. I do tego jeszcze o psa się troszczył, pięknego wilczura ciemnej maści. Najchętniej z tym psem po lesie wędrowali, stale pańskiego dobra pilnując. Nic tedy dziwnego, że pan cenil swojego gajowego i dawał tego dowody. A to mu parę dukatów dołożył, żeby sobie na zimowe lute mrozy stosowne buty kupić, a to swój kozuch, trochę tylko znoszony Dobromirowi sprezentował, a to mu prosiaczka dać kazał, żeby sobie na Wielkanoc uchował. Żyło się więc gajowemu dobrze i bez żony, choć znajomkowie nieraz mu powiadali:



— Lata ci, chłopie, idą. Trzydziestka ci się już przez kark przewaliła, a ty o żeniaczce ani nawet nie pomyślisz. Jeszcze trochę i już żadna młoda dziewczyna na ciebie nie spojrzę. Zostaną ci tylko same wdowy z cudzymi dziećskami albo stare panny, których nikt nie chciał... Śmiał się na te przestrogi i zachęty gajowy i odpowiadał zawsze jednako:

— Nie żenię się, bo mi się jeszcze żadna tak nie podobała, żebym dla niej i głowę, i wolność miał stracić. A jak się taka przydarzy albo mnie zaczaruje, to się wtedy ani chybi ożenię.

Szedł sobie kiedyś wczesną wiosną gajowy przez las ze swoim wiernym psem. Słuchał miłego i wesołego świergotu leśnego ptactwa. Sprawdzał, czy pszczoły się z zimowego odpoczynku otrząsnęły i czy do barci miód zaczynają znosić, bo łąki już się kwietne zrobiły. Aż tu nagle pies przystanął, zjeżył się cały i warknął głucho. Patrzy Dobromir, a tam coś się przemyka w młodniaku. Nie zwierz, a raczej człowiek.

— Jakie to лихо kogoś o tej porze po lesie nosi? Toć jeszcze ani grzybów, ani jagód, ani jeżyn nie ma...

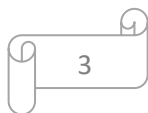
Okrzyknął przebiegającą postać, żeby się zatrzymała. Podeszedł bliżej i widzi dziewczynę cud, pięknej urody w nowym wiejskim przyodziewku, takim, jaki zwykle tylko do kościoła młode panny zakładają.

— Co tu robisz, panno? — zapytał. — Przecież to nie pora, żeby takie młódki jak ty samotnie po lesie spacerowały. Po co więc tu przyszłaś?

— Jestem Maryna — odrzekła na to Pyskatka, bo to ona właśnie była, przemieniona w piękną dziewczynę. — Przyjechałam dziś do znajomych, do wioski niedalekiej i wyszłam na spacer, ale chyba zbłądziłam trochę w tym lesie...

— I nie bałaś się tyli świat od wsi sama przez las wędrować?

— Trochę się bałam, ale miałam nadzieję, że wreszcie może tutaj spotkam jakiegoś dobrego człowieka, który mi dalszą drogę pokaże.



— To miałaś szczęście, te ciebie znalazłem, bo jak nic na noc w lesie byś została. Tylko popatrz, dzień się ma już ku końcowi, zaraz zmierzchać zaczniesz, a do twojej wsi kawał drogi.

— A kto ty jesteś, panie? — spytała Maryna-Pyskatka.

— Zwą mnie Dobromir, jestem gajowym jaśnie pana, właściciela tego lasu.

— To i drogi wszystkie musisz znać. Nie zechciałbyś mnie do wsi odprowadzić?

— Wieczór już niedaleki, a nie lubię po nocy wracać. Wiesz co? Dam ci nocleg w gajówce, a jutro cię odprowadzę.

Przez cały czas tej rozmowy pies siedział najeżony i powarkiwiał z cicha. Wreszcie uspokoił groźnego wilczura gajowy i ruszyli przez las. W gajówce Maryna od razu wzięła się do roboty. Przyniosła świeżej wody ze studni, rozpałała pod płytą, nastawiła saganek. Przykryła jakimś znalezionym czystym lnianym spłachetkiem stół, usmażyła jak należy jajecznicę na słońcu, nakroiła chleba i zasiedli do wieczornego posiłku. Potem szybko posprzątała i zmyła statki.

Spodobała się Dobromirowi dziewczyna. Ładna, miła, zgrabna, pracowita, rezolutna. Z taką i pogadać poważnie, i pożartować, i pośmiać się można. Przespała się Maryna w gajowego wyrku, a on poszedł na noc do alkierzyka. Rano wyszedł, a tu śniadanie gotowe. Ziemniaki z omastą, leśny miód do chleba i mleko. Same pyszności.

— Ze też wszystko sama tak znalazłaś, moja panno — pochwalił ją gajowy.

— Ja w robocie jestem szybka — odrzekła Maryna. — I we wszystkim — dodała spoglądając z uśmiechem na Dobromira.

— To wiesz co? Ja po takim dobrym śniadaniu pójdę do lasu na obchód, a ty nam zrób jakiś obiad. Jak wrócę, to cię odprowadzę. Wrócił, a tu na stole micha białego barszczu pachnącego pięknie i świeże ziemniaki. Pojedli, ale do odprowadzania gajowy jakoś

się nie kwapi. A może byś została u mnie za gospodynię? — zaproponował.

— Może bym i została, ale nie wiem, czy będziesz dla mnie dobrym gospodarzem?

— Będę, boś robotna i widzisz mi się. Zobacysz. Biorę cię na miesiąc, na próbę.

No i takim sposobem została Pyskatka u Dobromira. Mieszkali w zgodzie, tylko pies nijak nowej pani uznać nie chciał. Obchodził ją bokiem, powarkiwał, żadnego jadła z jej ręki nie wziął. Widać było, że jej nie polubił, chociaż dziewczyna mu różne psie przysmaki podsuwała. Tak minął miesiąc, po nim i drugi. Ale co się Dobromir próbuje do wyrka wieczorem zbliżyć, to dziewczyna go odgania.

— Jak mnie za żonę weźmiesz, to ci się na wszystko zgodzę, ale nie wcześniej.

Po następnym miesiącu gajowy miał całkiem dość samotnego spania w alkierzu i dojrzał już do żeniaczki. Nawet ustalili termin wesela: za dwie niedziele. Rad był gajowy, bo mu się owa dziewczyna coraz bardziej widziała. A pewnego dnia, gdy do lasu rano wychodził, to nawet pocałować się pozwoliła, choć nigdy dotąd tego nie czyniła.

Postanowił więc Dobromir wcześniej do chaty wrócić. Liczył, że może wreszcie i do wyrka go wpuści. Wychodzi więc koło południa z lasu i z daleka słyszy, jak pies ujada okrutnie. Kroku przyspieszył, biegiem wpadł na polanę, bojąc się, czy narzeczonej nic złego się nie dzieje. Patrzy, a tu na przyzbie siedzi oberwańców jakichś gromada. Wśród nich Maryna, wesola, roześmiana. To jednego, to drugiego szturchnie, zaczepi, zagada. A pies przez cały czas ujada i ujada, jak wściekły. Podchodzi gajowy bliżej i widzi, że to jakieś bardzo dziwne te oberwańce. Na gębach ciemne, szczeciniaste, zamiast ludzkich nóg mają kozic kopyta.

— A wy ktoście? Czego tu szukacie? Kto was prosi?

— Zaprosiła nas twoja narzeczona. My jej krewniacy. Ona z naszego rodu. Ożenisz się z nią, to zostaniesz diabelskim szwagrem — zaśmiał się zgrzytliwie najgrubszy.

Włosy podniosły gajowemu czapkę na głowie.

— A to ci narzeczona mi się znalazła... Jak nic, ożeniłbym się z diabolicą...

Drżącą ręką przeżegnał się chłop szybko, a zanim pierwszą zdrowaśkę zmówił, całe diabelskie towarzystwo razem z Maryną zniknęło.

Uradował się gajowy. Odetchnął z ulgą. Jednak został starym kawalerem, bo po tej nauczce o żadnej żeniaczce już nigdy więcej nawet nie pomyślał. Chyba się strachał, żeby mu się jaka kolejna baba-diablica nie trafiła